

Joanna Czerkies

Godło: Lawenda

Trzeba żyć

To Szymek wybrał dla niego imię. A i matce się podobało. Zresztą gdyby nie matka Szymka, tego czarnowłosego chłopaka pewnie w ogóle by nie było. To niech będzie Tomek, powiedział Szymek dwa dni po żniwach. Małgorzata wołała mówić Tomasz lub Tomaszek. Chciała Kacpra, albo Franciszka na pamiątkę po braciszku, ale nie upierała się przy swoim. Tomasz był jej Tomaszkiem nawet wtedy, gdy nosił już bez pomocy ojca wiadra z wodą i miał przyzwolenie na włóczenie się po lasach, a w szczególności był nim później - gdy nieszczęśliwie zakochał się w Halinie. Poznał ją zupełnie nie w porę, tak się często zdarza w życiu, bo tylko w książkach ludzie spotykają się nagle i niespodziewanie, a potem wszystko tak im się układa, że na ostatniej stronie są już razem - choćby w śmierci połączeni. Kiedy pokochał Halinę, ona miała długi brązowy warkocz, grube ciemne brwi, dziewczęcą buzię i dziesięcioletniego syna Antoniego, z którym spacerowała po wsi za rękę. Tomek miał tylko swoje dziewiętnaście i mocne ręce, którymi pomagał Halinie w rąbaniu drewna i układaniu go równo pod domem, gdy mąż jej Robert wyjeżdżał do roboty i nie było go całymi tygodniami.

Przytrzymał też Antkowi gwoździe, kiedy chłopak próbował wbijać je w deski, czasem przynosił mu co słodsze gruszki z dziadkowego sadu i zbierał z nim ślimaki do stoików, by potem wypuszczać je na łące za domem.

A ludzie gadali. Małgorzata nie miała spokoju, wysłała więc Tomasza do miasta, do swojej kuzynki. Pojedzie, będzie miał zajęcie, młody jest, opamięta się. Tylko mu się zdaje, że kocha, zresztą, co to jest miłość, jeszcze w dodatku pierwsza. Pierwsza nie ostatnia, pierwsza przypomina się dopiero wtedy, gdy po tej ostatniej, dla niektórych jedynej i najważniejszej, nie ma już śladu. A niech tylko Robek wróci, plotek posłucha, to młodemu kości poprzetrąca. Zapomnisz, Tomaszek, zapomnisz. Próbował więc w mieście zapomnieć o jej gładkich włosach pachnących ziołami i o dotyku palców, którymi podawała mu szklankę z wodą, przytrzymując ją dłużej, niż to było konieczne. Chciał zapomnieć, bo Halina była jego wielkim niespełnieniem, otwartą raną i czuł całym sobą, że urodził się za późno, o te parę lat za późno, i że nie dogoni już szczęścia, co przepadło. Zdawało mu się wtedy, jakby umierał albo już umarł. Nic, że ojciec powtarzał mu, że żyć to jedenaste przykazanie, a tego przykazania, może właśnie tego jednego najbardziej, nie można łamać. Pracował i tęsknił, pracował więcej i tęsknił jeszcze bardziej. Raz, gdy nie mógł już wytrzymać, po piątkowej robocie poszedł piechotą do wsi. Zaszedł już na sam wieczór; u Haliny paliło się małe światło w

oknie od zachodu. Pociągnął cicho za klamkę, ale drzwi nie puściły. Przyłożył głowę do szyby i nie chciał patrzeć, ale patrzył, jak Halina zdejmuje spódnicę i bluzkę i odkłada je na brzeg łóżka. Robek wrócił. Tomasz wsadził sobie pięść do ust i zagryzł mocno, by nie przestraszyć krzykiem nikogo, siebie samego w szczególności. Jeszcze tego samego wieczoru powlókł się z powrotem do miasta. A potem już tylko czuł, jak powoli uchodzi z niego życie. I gdy żyć mu się nie chciało, wyobrażał sobie, że kładzie się na gorącej od słońca polanie. Tej samej, na którą ojciec zaczął go przyprowadzać, gdy Tomasz miał może pięć, może sześć lat. Chodzili tam łapać motyle i ścigać się z psem Bobkiem. Kiedyś Tomek przewrócił się i rozciął kolano na wystającym patyku, a ojciec podniósł go do góry i zaniósł do domu na barana. Matka była wtedy zła, woląta złościć się niż bać, z kolana lała się krew, ale Tomaszka nie bolało nic a nic, gdy tak siedział wysoko na ramionach ojca, mama, patrz! a Szymek nie powiedział nawet słowa na to, że miał koszulę poplamioną na czerwono. Od krwi i od poziomek nawleczonych na twarde źdźbła trawy, zgniecionych w kieszeni Tomkowego sweterka, bo nie zdążyli donieść ich do domu.

Gdy więc życie bolało Tomasza, wyobrażał sobie, że leży na gorącej trawie, promienie przyjemnie dotykają jego ciało, a on wyczuwa ruch mrówek pod sobą, łaskotanie much na ramionach, słyszy brzęczenie pszczoł i trzepot motyli

skrzydeł i czuje, jak delikatnie porusza się ziemia, a on stapia się z nią i stają się jednym, tak że jego już nie ma. A potem spada drobny deszcz i zmywa ślad ciała wygnieciony na trawie.

Różnie we wsi mówili o Robku. Że nie do roboty on jeździ, a do innej baby. Halina nigdy nie narzekała i słowem się nie odezwała, w sklepie brała tylko zakupy i zaraz wychodziła, chodź, Antoś, mówiła, i nie odpowiadała na zaczepne uwagi ani spojrzenia, które odprowadzały ją aż do zakrętu. Dlaczego właśnie Halina, myślała nocami Małgorzata, dlaczego jej Tomaszek stracił głowę dla kobiety Roberta. I ona kiedyś straciła ją dla niego, ale tylko przez krótki czas był jej Robertem; mógł przebierać w kobietach jak w dojrzałych jabłkach, wystarczyło, że zarzucił tę swoją pszeniczną grzywkę, kiedy przychodził coś załatwić w gminie, a każda była jego. Małgorzata wierzyła więc w to wiejskie gadanie, a Tomaszka chciała uchronić przed Haliną i każdym innym nieszczęściem świata. To z Szymkiem poszła, nie do ołtarza wprawdzie, a do gminnego urzędnika, z brzuchem jeszcze niewidocznym pod kremową sukienką, którą pomogła jej uszyć matka Szymka. On wieczorami kładł nieśmiało ręce na ten rosnący brzuch; nie tykaj, Szymek, mówiła matka, bo dziecku zaszkodziś, a Małgorzata mimo spokojnego dotyku Szymka nie potrafiła sobie wyobrazić ani tego małego, osobnego życia, ani życia w ogóle.

Po powrocie z pracy, kiedy obszedł już całe podwórko i pogadał z ojcem Małgorzaty, gdy pocałował zabieganą zawsze żonę, oganiającą się od ludzi jak od much, Szymek zabierał Tomasza na polanę pośrodku lasu. Przysiągł sobie, że nie będzie przymuszał syna do ziemi, ale nauczy go kochać ją i szanować, tak jak chleb i matkę. Kładli się więc na trawie z rękami pod głową i najczęściej milczeli. Tomek nie zadawał zbyt wielu pytań. Był raczej jak Szymek, milczący i cichy, chował wszystko w sobie. Ciekaw był tylko blizn ojca i czasem dotykał jakiegoś miejsca na jego ciele i pytał, tata, a to skąd masz? Szymek szukał wtedy naprędce jakiejś opowieści, która zaspokoiłaby ciekawość syna, przeważnie niezgodnej z prawdą, zresztą jemu samemu blizny już dawno wymieszały się w pamięci. Opowiadał mu przy tym po trochu swoje życie, porządkując je w rozdziały, bo przeczuwał już wtedy, że być może tylko życie opowiedziane komuś ma jakiegokolwiek znaczenie. Mówił jednak niewiele, a jeśli już, to musiało to być coś na tyle ważnego, by warte było słów. Pamiętaj, Tomek, jedenaste przykazanie, którego Bóg w roztargnieniu swoim nie wypowiedział głośno, jest takie, że trzeba żyć. Pamiętaj. Trzeba żyć.

Wierzyła w to święcie matka Szymona, zawracając z drogi Małgorzatę, gdy ta była już umówiona w mieście z kuzynką, a tamta z doktorem. To życie, Małgośka, nie masz prawa decydować za Szymka i za to małe, które tam już wie, żeś ty

jest jego matka. Małgorzata przez te wszystkie lata czuła, że Szymek zagarnął Tomasza dla siebie i że stworzyli sobie we dwóch tylko im znany świat pełen ptaków, motyli, patyków, mrówek i ognisk palonych nocami, a jej nic do tego nie było. Tomaszek był bardziej Szymkowej matki, bo przez nią wyratowany, i dziadka, który przyuczał go do uli, a najwięcej ze wszystkiego był Szymka, który nigdy nie dowiedział się o rozmowie Małgorzaty z matką. Potem Małgorzata wyrzucała sobie, że gdyby częściej brała syna na kolana, rzadziej przeganiała go ścierką z kuchni, pozwalała od czasu do czasu zaglądać do swojego kuferka z perfumami, pomadkami, koralami i pończochami i nie wzbraniała się przed czułością, może siedziałby tu teraz na krześle, wróciłby jak zawsze na wigilię, nie zniknąłby tak bez uprzedzenia. Szymek chodził po pustej polanie. Nie wierzył, że słowa, którymi skąpo bo skąpo, ale karmił swego jedyne go, mogły przepaść jak kamień w wodę, tak jak przepadł tej zimy Tomasz. Gdy ze wsi niedługo później zniknęła Halina z Antkiem, ludziom wydawało się, że wszystko wiedzą. Kaśka sklepowa, która od początku krzywo patrzyła na Małgorzatę, że ta zmarnowała Szymka, rozpowiadała, że Robek musiał być znaleźć Halinę i Tomka i ukrzywdzić tak jedno, jak i drugie. Co stało się z Antkiem, tego nie wiadomo.

- I widzisz, Małgośka, jak ty go kiedyś nie chciałaś, tak ty go teraz nie masz.

- Mama tak nie mówi, mama wie, że on całym moim światem. Mama mi nie wypomina. Namieszała mu w głowie, ta czarownica, a mówiłam, że nie wolno jej patrzeć w oczy, czarne oczy jak u Cyganki, mówiłam, samo nieszczęście z tego. Ale on wróci, zobaczy mama, wróci. Jak nie do mnie, to do Szymka, do ojca. Albo Szymek go znajdzie. Spierze mu dupę jak gówniarzowi, zobaczy mama.

- Nie płacz, Małgośka, nie krzycz. Płacze się po cichu, tak jak i się kocha, nie marnując na kochanie słów. Wiem, że do Matki Boskiej nie było ci nigdy po drodze, prędzej w urząd wierzyłaś, ale chodź, pójdziemy pod kapliczkę, ona matka taka jak i ty, też syna kiedyś zgubiła, to ona zrozumie, pocieszy. A Tomaszek wróci, wróci. Tylko wtedy ty go przyjmij i nie mów nic. Słów ci wtedy nie będzie trzeba. A jak nie wróci, jak poszedł tam, skąd się nie wraca nawet do matki, to ty słów nie szukaj, bo takich na świecie nie ma. Chodź, Małgośka. Małgośka?